

Jej pierwsza, wielka miłość

Legenda polskiej sceny Nina Andrycz, która w tym roku skończy 98 lat, przyjechała do Sopotu promować swoją nową książkę „Patrząc i wspominam”. Najpiękniejsze fragmenty mówią o jej wielkiej miłości, aktorze Aleksandrze Węgierce

Aktorka spotkała się z fanami w Muzeum Sopotu. Przybyli stali się świadkami długiej, wzruszającej opowieści o młodszej miłości artystki, o jej pasji życia, życia, które wypełnił teatr.

- Nie jestem kobietą, która się w życiu nudzi. Kiedy zaczęłam grać w teatrze telewizji, panie pisały do mnie listy. Pisały o swoich kłopotach z mężczyznami: „że zdradza”, „że świnią”, „że drań”. Ja im udzielałam zawsze rad bardzo delikatnych: „Jak chcesz mieć spokój, jeśli chcesz mieć dobre życie, polegaj na sobie. Nie na tatusiu, który kupi ci sukieneczkę, nie na mężulku, który kupi ci futerko, pamiętaj, kiedyś przyjdzie ci za to futerko zapłacić. Ja rozumiem, że - pisałam o tym kobietom - nie będziesz drugą Curie ani Eleonorą Duse, ale jeśli nauczysz się na przykład dobrze robić dożylny zastrzyk, masz szansę stać się niezależną”...

Czy to pomogło wtedy? Dziś kobiety oglądają seriale w telewizji - szczyt głupoty! - więc nie wiem, czy im takie wzniośle rady do czegoś się przydadzą. W każdym razie moim dawnym korespondentkom pomogły. Jedna z nich pisała: „Przestał mówić: Milcz głupia!”. Postawiła się parę razy, obraziła, obiadu nawet nie zrobiła i jakoś awantury nie było...

- Tomikiem wierszy „To teatr” zaczęła się moja druga kariera, czyli pisanie, kariera, do której bardzo się przywiązałam. Od tego czasu, ile razy było mi źle z jakichś powodów, ratowałam się pisaniem.

Jedna z moich książek nazywała się „Bez początku, bez końca”. Dlaczego taki dziwny tytuł? Ponieważ początek mego życia opisałam w tomie „My - rozdwojeni”, a końca jeszcze nie znam...

Walorem tej mojej prozy, a może nawet i magnesem było to, że ja odważyłam się napisać szczerze o ciekawym i niełatwym okresie - pierwszej młodości. Pierwsza młodość bowiem nie potrzebuje makijażu - notabene ja także dzisiaj jestem bez podkładu - młodość nie lubi podlizywać się szefowi, gdy uprawia sport, to nie bije poniżej pasa, nie oplotkowuje kole-

żanek bezlitośnie. A poza tym - pierwsza młodość święcie wierzy, że jeżeli pan Bóg dał jej troszkę talentu, a ona włoży dużo pracy, to zdobędzie wszystko. Otóż, mój Boże, na pewno zdobędzie sporo, czasem nawet bardzo dużo, tak jak Pola Negri zdobyła cały świat. Ale jednak nie wszystko...

- Dlaczego nie wszystko można zdobyć, mając nawet ogromny temperament i chęci? Nie dlatego, że pojawia się jakaś rywalizacja, niebezpieczeństwo, ale dlatego, że przeszkody pojawiają się z zupełnie nieoczekiwanej strony. Skończyłam Państwowy Wyższy Instytut Sztuki Teatralnej, który my, studenci nazywaliśmy z sentymentu i żartobliwie szkołą Zelwera, od nazwiska Aleksandra Zelwerowicza, najznamienitszego pedagoga, jaki istniał, dziś o takim pedagogu nie ma nawet co marzyć. Dziś absolwenci szkół teatralnych mówią na scenie tak, że ja siedzę w piątym rzędzie i nie słyszę nic! Oni nie mówią, tylko bełkoczą!

Otóż w szkole Zelwera, gdy byłam na drugim roku i miałam ledwie 19 lat, zakochałam się w jednym z moich profesorów. A on, o dziwo, zakochał się we mnie.

- Miał 39 lat, ale mnie ta różnica nie przeszkadzała. Tato zmarł wcześniej, bardzo brakowało mi w tych młodych latach męskiej opieki. Różnica wieku pracowała tylko na większą czułość między nami. Przeszkoda była inna i nie do pokonania. On był żonaty z kobietą, która jako żona... miała same plusy. Skoń-

na tę podróż pieniędzy. I co robi wtedy ta genialna żona? Zakłada elegancki biznes, mały sklepik Robes et Manteaux, czyli suknie i płaszcze.

Rysowała tak ładne projekty, że nawet z Paryża dostawała zamówienia! Ubierały się u niej modne, zamożne warszawianki. Po jakimś czasie owa genialna żona zbierała odpowiednią ilość pieniędzy i dała je ukochanemu mówiąc: - Jedź, ucz się, Kochany, niech ci to służy. I pojechał. Kiedy wrócił, przywiózł ze sobą dwie nowoczesne sztuki teatralne, wyreżyserował je, a przed kasami, jak za dawnych dobrych czasów, ustawiły się kolejki po bilety. Zwycięstwo żony było ogromne i należy się jej wdzięczność, bo przecież budowała tę jego karierę dla ludzi, dla teatru.

Ja to wszystko rozumiałam, rozmawiałam nawet z mamą na ten temat. Mama powiedziała: - Rozumiem, że on bardzo ci się podoba, ale nie macie prawa tej kobiety skrzywdzić, bo ona jest bez zarzutu! Nie macie prawa! I uznałam, że ma świętą rację. Ale wesoło mi nie było...

- Po roli w sztuce „Tessa” udało mi się przejść do pilnie strzeżonego, wąskiego kręgu dramatycznych gwiazd miasta Warszawy. Teraz gwiazdą nazywa się byle kogo. Pokaże biust i już jest gwiazda!

Gdy grałam Salome, też pokazałam biust, ale to wpisywało się w tę szalenie trudną rolę! To było przedstawienie - egzamin na ostatnim roku szkoły. Graliśmy je na dużej scenie Teatru Polskiego. Po spektaklu przysełł do mnie reżyser i mówi, że

On był żonaty z kobietą, która jako żona miała same plusy! Mama powiedziała - Nie macie prawa jej skrzywdzić! Jest bez zarzutu!

czytał Akademię Sztuk Pięknych, była bardzo utalentowana, ale zamiast z całych sił walczyć o swoją karierę, była tak zakochana w mężu, że to jemu pomagała się rozwijać. Kiedy dyrektor teatru chciał wysłać jej męża na Zachód, by nauczył się tam nowych środków aktorskiego wyrazu, potrzebował

dyrektor Szyfman prosi mnie do gabinetu. Na to moja ciocia, która towarzyszyła mi w garderobie jęknęła: - O Jezus Maria, przecież ona jest naga! Bo Salome miała tylko malutkie napierśniczki i tiul na biodrach. Ale reżyser na to: - Dyrektor nie może czekać. Proszę włożyć na to płaszcz i pójść ze mną. Tak



- Jestem kobietą, która nigdy się nie nudzi...

FOT. WŁODZIMIEZ WASYLUK/REPORTER/EAST NEWS

zrobiłam. Gdy pojawiłam się przed obliczem dyrektora ten rzekł: - Pani się spodobała Marii Przybyłko - Potockiej (aktorka, reżyserka - dop. red.) - tu zrobił długą pauzę, co oznaczało: „pani się spodobała miłości mego życia, pani się spodobała kobiecie, dla której zbudowałam Teatr Polski i mam do niej bezgraniczne zaufanie” - jesteśmy skłonni zaangażować panią od jesieni.

Byłam zaszczyczona i wzruszona, ale odparłam: - Niestety, panie dyrektorze, muszę wyjechać z Warszawy.

On miał dobrą intuicję i spytał: - To sprawa sercowa, prawda? Kiwnęłam głową.

- Mnie się zdaje, że na ile ja znam bohatera tej sprawy, to uważam, że jego żony wspianiej nie macie prawa skrzywdzić, więc pochwalam to, że pani wyjeżdża...

Wyjechałam. Wróciłam do mojego ukochanego teatru dopiero po ośmiu miesiącach. Rzecz miała miejsce w 1935 roku...

- Jedną z pierwszych ról, którą mi powierzono, była kreacja Regany w „Królu Learze”. To rola strasznej kanalii, wiem. Na próbie generalnej dyrektor Szyfman rzecze do mnie: - Mówi świetnie, ale ma za szlachetny kolor włosów. Jak na sadystkę, którą gra - fatalnie!

Dali mi więc perukę, rudą. Zdziçałam natychmiast! Królewski diadem, mój pierwszy w życiu włożyła mi na głowę... żona mojego ukochanego, która prowadziła w teatrze pracownię krawiecką i Szyfman bardzo ją cenił.

- W czasie wojny mój ukochany wyjechał na Wschód.

W Grodnie stworzył teatr. Potem ukrywał się u pewnego księdza pod Białymstokiem. Któregoś dnia przyszło po niego gestapo. Wywieźli go do lasu i prawdopodobnie rozstrzelali. W każdym razie wszelki śluch o nim zaginął. Teatr go poszukiwał, żona, ja... Na nic. Tak to się skończyła ta pierwsza moja miłość...

Już nigdy w życiu nikogo tak nie pokochałam. Wielu mężczyzn poświęciło dla mnie wiele spraw, mój mąż mnie bardzo kochał, ale ja nawet cienia takiego uczucia już po raz drugi nie przeżyłam.

Po latach mój mąż mówił zawsze: - W naszym domu kwitnie nekrofilia! Portret Aleksandra wisiał u nas wtedy, wisi w moim salonie i dziś.

Notowała Gabriela Pewińska
g.pewinska@prasa.gda.pl